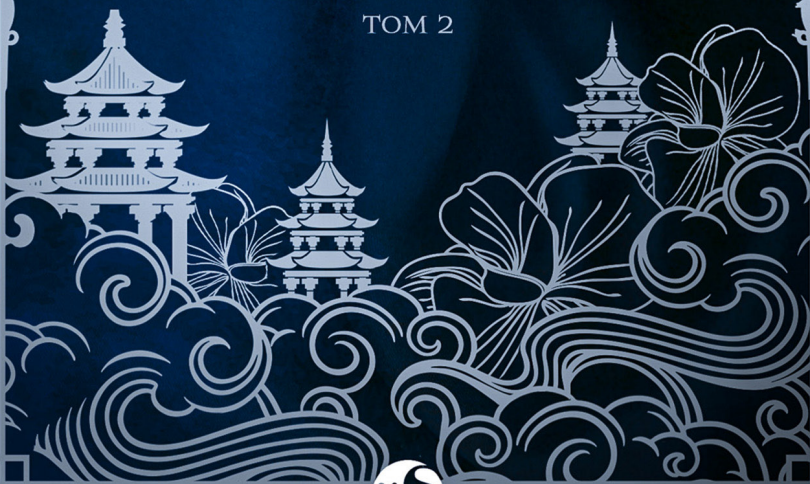




KYLIE LEE BAKER

KRWAWA ORCHIDEA

TOM 2



KYLIE LEE BAKER

KRWAWA
ORCHIDEA

TOM 2

Tłumaczenie
Kinga Rzepka

Tytuł oryginału: *The Blood Orchid*

Copyright © Kylie Lee Baker 2024

Copyright © for Polish edition by Wydawnictwo Nowe Strony, Oświęcim 2025

All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redaktorka prowadząca: Sandra Pętecka

Redakcja: Marta Grandke

Korekta: Anna Łakuta, Aleksandra Płotka, Monika Baran

Skład i łamanie: Michał Śwędrowski

Oprawa graficzna książki: Weronika Szulecka

Druk i oprawa: Abedik S.A.

ISBN 978-83-8418-117-1 · Wydawnictwo Nowe Strony · Oświęcim 2025

Grupa Wydawnicza Dariusz Marszałek



🌐 www.wydawnictwoniezwykle.pl
@ niezwykle@wydawnictwoniezwykle.pl
📘 Wydawnictwo Nowe Strony
📷 [wydawnictwonowestrony](https://www.wydawnictwonowestrony.pl)
🎵 [nowe_strony](https://www.instagram.com/nowe_strony)

*Dla wszystkich, którzy oglądali
w dzieciństwie „Fullmetal Alchemist”,
po czym ich życie nigdy nie było już takie samo*

PRZEDMOWA

W czasach dynastii Tang chińscy alchemicy próbowali stworzyć eliksir nieśmiertelności. Ta historia opowiada o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby im się to udało. Ponieważ jest to alternatywna historia, która ukazuje Chiny takimi, jakimi mogły się stać sto lat po tym odkryciu, wiele szczegółów historycznych zostało świadomie zmienionych. W związku z tym nie należy traktować tej książki jako autorytatywnego źródła informacji o historii i kulturze Chin.

W szczególności należy zauważyć, że chociaż alchemia w tej książce została luźno oparta na zasadach i celach chińskiej alchemii taoistycznej z VIII wieku, jej opis jest całkowicie fikcyjny i nie odzwierciedla historycznych ani współczesnych praktyk taoistycznych. Ta powieść zawiera również współczesne słowa zaczerpnięte z języka mandaryńskiego i kantońskiego, które znacznie różnią się od słów języka średniochińskiego, używanego w czasach dynastii Tang. Autorka tej książki podjęła tę decyzję, chcąc stworzyć tekst łatwy do czytania i zrozumienia dla współczesnych użytkowników języka chińskiego (jak również biorąc pod uwagę niechęć do nauki martwego języka na potrzeby powieści fantasy).

PROLOG

Krew Cesarzowej ma posmak światła.

W chwili, gdy życie kobiety gaśnie w uścisku moich kłów, a ja wyczuwam, jak jej serce milknie poprzez tętnice oplatające mi język, poznaję smak śmierci.

Wszyscy myślą, że zapomniałam o tym momencie. Nigdy o tym nie rozmawiają, bo działałam w imię wyższego dobra, bo przeżyłam, bo wszystko, czego pragną ludzie, to zwycięstwo. Nie chcą wiedzieć, jak wielką cenę trzeba zapłacić.

Czułam, jak jej ścięga pękają i zwijają się między moimi zębami niczym struny cytry. Język wbił się w kręgosłup Cesarzowej, zęby zdarły jej białą, przypudrowaną skórę. Nie jest to smak, o którym łatwo zapomnieć.

Ta chwila wciąż powraca w moich snach. Każdej nocy trzymam jej twarz nieruchomo, uciskam ją, czynię kobietę swoją własnością, piję złoto z blednących żył.

Są koszmary, w których ona nie umiera. Zamiast tego sięga i chwyta moją szczękę swoimi zakrwawionymi dłońmi, a ja czuję palące qi na śliskiej, perłowej skórze. Odwraca mi głowę w swoją stronę, a ja jestem posłuszna, ponieważ to Cesarzowa, a kiedy widzisz coś tak pięknego, nie możesz odwrócić wzroku.

Potem pochyla się nad moim uchem i szepcze słowa, które nie są senną marą. Są wspomnieniem.

Moc, którą uważasz, że władasz, to tylko złudzenie.

Twoje marzenia, bez względu na to, jakie są, należą do mnie.

A gdziekolwiek uciekniesz, już tam na ciebie czekam.

Wbija mi paznokcie w policzek.

Na mojej twarzy pojawia się pęknięcie – pojedyncza, postrzępiona linia ciemności, która zaczyna się pod prawym okiem i biegnie przez całe ciało. Jestem córką ulepioną z gliny, jestem porcelanową lalką, stojącą na półce; z cichym trzaskiem rozpadam się na kawałki.

Tuli mnie w swoich ramionach, nawet gdy staję się tylko drobnym, białym pyłem i nierównymi odłamkami, a nawet wtedy nie chce mnie wypuścić ze swych objęć. Moje myśli rozmywają się jak odległe gwiazdy, ale jedyne, co sobie wyobrażam, to jej blada, niebieska skóra, pięknie kontrastująca ze szkarłatem spływającym po gardle. Jest pierwszym jasnym światłem poranka, które przecina horyzont, rozdzierając go. Ona jest moją Cesarzową.

A potem w końcu umiera. Nie dlatego, że okazuje się słaba, czy dlatego, że naprawdę ją pokonałam, ale dlatego, że złożyła mi obietnicę.

A gdziekolwiek uciekniesz, już tam na ciebie czekam.

Alchemiczka zmartwychwstania nie powinna obawiać się śmierci. Już teraz jednak czuję ten strach.

Bo wiem, że w dniu, w którym umrę i obudzę się w rzece dusz, pierwszą rzeczą, jaką zobaczę, będzie para lśniących, złotych oczu.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Rok 775
Lanzhou, Chiny*

Mój brat i ja staliśmy się bardzo dobrzy w udawaniu, że nie jesteśmy martwi.

Na pustyni ostre słońce malowało nasze policzki, a pot spływał z nas strumieniami. Z trudem łapaliśmy oddech, jakbyśmy prawie utonęli i dopiero co wynurzyli się na powierzchnię tego złotego morza – moim zdaniem przekonujące odwzorowanie życia. Choć trochę obawiałam się, że ktoś rozpozna księcia koronnego i ostatnią cesarską alchemiczkę, zupełnie nie martwiłam się tym, że mógłby też podejrzewać, iż jesteśmy żywymi trupami.

Ziemia szeptała do nas sykiem węży, słysząc było tupot małych łap gryzoni i westchnienia wydm przesuwających się powoli w oddali. Niebo w kolorze pergaminu dławilo się piaskiem.

Na północy ludzie nazywali to miejsce Morzem Bez Granic. Wydmy wokół nas kołysały się, pustynia żyła i płynęła tak samo jak każdy ocean, jaki kiedykolwiek widziałam, chociaż mogło być to złudzenie spowodowane falami upału lub moim powoli topniejącym mózgiem. Wiedziałam tylko, że kiedyś włożyłam rękę do pieca mojego wuja w Guangzhou i poczułam ciepło, które z pewnością ugotowałoby mi skórę – jakbym weszła do środka i zamknęła za sobą drzwiczki.

Tydzień temu Wenshu i ja opuściliśmy pałac w Chang'an na grzbietach koni, ale dotarliśmy do części świata tak wyschniętej, że byłoby okrucieństwem prowadzić nasze zwierzęta dalej – ich kopyta zapadały się w gęstym piasku jak w błocie. Sprzedaliśmy je w Lanzhou za złoto, którym kiedyś byśmy się zachwycili, ale teraz stanowiło tylko dodatkowy ciężar w naszych torbach. Przez krótką chwilę rozważałam pozbycie się go gdzieś na pustyni.

Nawet ten nieustający upał był lepszy niż pobyt w pałacu w Chang'an.

Przez kilka tygodni, które upłynęły od śmierci innych alchemików, prawie nie zmrużyłam oka. Za każdym razem, gdy kładłam się spać, cienie migotały tuż za moimi oknami, a gdy otwierałam drzwi, rozplýwały się w powietrzu. Szepty przeciskały się przez szczeliny w ścianach obitych drewnem, wchodziły przez dziurkę od klucza, dopasowywały się do okratowanego okna, aby prześlizgnąć się do pokoju i wtargnąć do snów.

I na każdym kroku pojawiała się tam moja kuzynka – nazywana również siostrą – Yufei, odziana w oblicze Cesarzowej.

Zapytała mnie o kolację i skarciła Wenshu tym samym głosem, którym niegdyś powiedziała mi z niezachwianą pewnością, że spaliła moje rodzeństwo żywcem.

Chociaż kuzyn pożyczył ciało następcy tronu, ani razu nie zapomniałam, że to on w nim teraz mieszkał. Z jakiegoś powodu jednak prześladowały mnie złote oczy Cesarzowej, chociaż wiedziałam, że kryje się za nimi Yufei.

Może to dlatego, że zabiłam władczynię, poświęciłam własne ciało i narzeczonego, aby upewnić się, że ona nie żyje, a mimo to wciąż przechadzała się po pałacu, prosząc o pieczonego kurczaka o każdej porze nocy.

Śmierć Cesarzowej stała się oczywiście jedną z wielu tajemnic pałacu. Dopóki jej ciało działało, pozostawała żywa w oczach swojego ludu. Pod wieloma względami było nadal tak, jakbym nigdy jej nie zamordowała. Może w tym tkwił problem.

Dopiero gdy opuściłam dwór z Wenshu, a bramy Chang'an stały się małą złotą iskierką na odległym horyzoncie, poczułam, że znowu oddycham. Miasto, które kiedyś stanowiło moje największe marzenie, szybko okazało się koszmarem.

Wenshu znalazł nam cienkie, białe płaszcze z szerokimi kapturami, które chroniły przed słońcem. We dwójkę przemknęliśmy przez pustynię jak duchy, a ślady naszych stóp szybko zatarła nieustająca pieśń przesuwającego się wokół nas piasku, jakbyśmy nigdy tak naprawdę nie istnieli.

Był tu ktoś, kto mógł nam pomóc, ale nie lubił gości.

– Przestań wzbijać za sobą tumany piasku tymi olbrzymimi stopami – pouczył mnie Wenshu.

Jeśli miałabym wymienić jedną rzecz, w której mój brat celował, było to uzmysławianie mi, że bez względu na to, czyją twarz nosił, absolutnie nie przypominał słodkiego i delikatnego księcia Li Hong.

– Więc nadążaj – odparłam, nawet nie zerkając przez ramię.

– Nie wszyscy z nas mają nogi długości Żółtej Rzeki.

Jęknęłam, naciągając kaptur na twarz, w daremnej próbie jej zakrycia, bo i tak nie dawało to wiele cienia.

– Proszę, nie wspominaj teraz o wodzie.

– Kręci ci się w głowie? – zapytał z troską Wenshu, gdy nagle znalazł się obok mnie. Nawyk z czasów, gdy byliśmy dziećmi i musiał się martwić o to, że zemdleję w upale. Te dni jednak dawno minęły, a imię – moje prawdziwe – wyryte na

przedramieniu przypominało o wszystkim, co się od tamtych chwil zmieniło.

Moja mentorka, Księżycowa Alchemiczka, wołała śmierć niż życie jako nieumarła abominacja, taka jak ja. Miałam zbyt wiele do zrobienia, zanim znów odejdę. Duszę bezpiecznie przywiązałam do ciała, w którym martwe serce po raz kolejny biło, wysysając kolory z otaczającego mnie świata, wysysając światło, życie i qi z każdego, kogo kochałam.

Prawie każdy, kto się do mnie zbliżył, już nie żył. Zadbałam o to.

Mój brat i siostra byli tak samo martwi jak ja, rodzice dawno odeszli, narzeczony czekał na mnie nad rzeką dusz, a jego ciało pożyczył Wenshu jak dodatkowy płaszcz. Ciotunia i Wujek, którzy mnie wychowali, nadal żyli w Guangzhou i mieli się dobrze, ale nie mogliśmy ich już nigdy więcej zobaczyć. Przebywanie blisko nas zabiłoby ich, nasza obecność wyżyłaby qi jak mokrą szmatę, do momentu, aż nic by z nich nie zostało.

– Nie kręci mi się w głowie, CHCE MI SIĘ PIĆ – mruknęłam. – A tobie?

Wenshu skrzywił się, gdy gorący powiew wiatru zdmuchnął jego kaptur, zasypując oczy piaskiem.

– Dlaczego więc narzekasz, zamiast załatwić nam więcej wody?

– Cierpisz przez udar cieplny? – zapytałam ironicznie. – Jesteśmy tu dopiero od kilku godzin. W piasku nie ma wody.

– Nie w piasku. Pod nim – odchrząknął kuzyn, przewracając oczami. – Gdzieś tam na dole płyną wody gruntowe. Jak twoim zdaniem rosną tu kaktusy?

– Nie wiem, deszcz?

– Deszcz – powtórzył, rzucając ostre spojrzenie na rozżarzone niebo.

Chętnie szłabym dalej, byle tylko pozbawić go satysfakcji z przedstawionej racji, ale miałam sucho w ustach, tętno waliło mi w uszach, a do zmroku zostało jeszcze kilka godzin.

Uklękałam w piasku, zanurzając się w ciepłej kąpieli ze złota, i sięgnęłam do torby.

Durian, alchemiczny kaczor, wysunął głowę z większego bagażu. Moje dłonie były trochę spocone, ale udało mi się wyciągnąć trzy kamienie wody i wcisnąć je w piasek.

Alchemia wbiła się w ziemię niczym błyskawica. Spływała kaskadą po ścieżce pustynnych kryształów, zbyt małych, by mogło je dostrzec ludzkie oko, sięgając lustra wody, coraz cieńsza i cichsza, gdy zagłębiała się w grunt. Dłonie zaczęły szczypać jak poparzone słońcem, moc przeszywała żyły, luzowała paznokcie, a moja skóra pękała wysuszona. Poprowadziłam alchemiczny strumień wokół dawno pogrzebanych kości gryzoni i porzuconej skóry węża, aż w końcu dotarłam do splątanej sieci korzeni kaktusa gdzieś w oddali. Podążałam za nimi coraz głębiej w dół, aż w końcu ręce stały się chłodne.

Woda tryskała z podłoża cienkim strumieniem, który łapał światło swoim przezroczystym blaskiem. Wzbił się wysoko, po czym opadł z powrotem i uderzył Wenshu między oczy, przewracając go na plecy.

– FAN ZILAN! – krzyknął rozwścieczony. Usunął się z drogi, gdy złapałam kolejną strużkę cieczy w bukłak.

– Prosiłeś o wodę – przypomniałam bratu.

– Tak, idealnie, gdybyś następnym razem trafiła do moich ust – burknął nadąsany. – Nie jestem żabą, która pije przez pory.

– Prawie mnie nabrałeś.

– Tak nawet nie wygląda moja prawdziwa twarz! – fuknął kuzyn. – Po prostu obrażasz swojego brzydkiego chłopaka.

Pokręciłam głową.

– Coś w twojej osobowości po prostu szpeci jego rysy – stwierdziłam sarkastycznie. – Jak dodanie zepsutego mięsa do potrawy.

Kaptur Wenshu znów odchylił się do tyłu, a piasek uderzył kuzyna w twarz. Splunął na ziemię, szorując oczy rękawem, który był tylko nieznacznie mniej zabrudzony.

Położyłam Duriana na spódnicy w obłoku bawełnianego puachu. Zaczęły rosnąć mu pióra, złoty meszek zastąpiła gładka biel sięgająca od klatki piersiowej do łebka, ale wciąż poniżej była tam napuszczona chmurka. Przez większość czasu siedział w mojej torbie z wystawioną głową i od czasu do czasu cicho popiskiwał, co nieustannie denerwowało Wenshu. Wrzuciłam do torby kilka aktywowanych kamieni wody, aby go ochłodzić, ale wydawał się całkowicie niewzruszony pustynnym upałem, czego nie mogłam powiedzieć o sobie.

Wydobyłam trochę więcej wody z ziemi i nabrałam płyn w dłonie. Podałam ją Durianowi, podczas gdy kuzyn patrzył na nas z kwaśną miną.

– Dbasz o tę demoniczną kaczkę z większą troską niż o własnego brata – burknął.

– Czy naprawdę jesteś o nią zazdrosny? – spytałam, unosząc brew. – Też chciałeś schować się w torbie? Jeść świerszcze z rąk?

Przewrócił oczami, zarzucając bagaż wyżej na ramieniu, a jego oczy były czerwone od drażniącego je pyłu.

– Mógłbym siedzieć teraz w pałacu, udawać księcia – westchnął głęboko. – Zamiast tego jem piasek i smażę się na słońcu, podczas gdy ty mnie obrażasz.

– Potraktuj to jako zapłatę za dwukrotne wskrzeszenie – skwitowałam, biorąc długie, wspaniały łyk wody.



Wraz z gasnącym słońcem, malującym horyzont szkarłatną kreską, odgłos naszych kroków nabrał nowego brzmienia. Każdy z nich odbijał się cichym echem gdzieś w dole, jakby świat stał się pusty.

Wenshu też musiał to zauważyć, bo zwalniał, aż w końcu się zatrzymał. Wyciągnął jeden ze zwojów ze swojej torby i go

rozłożył. Zauważyłam rozdarcie na rękawie chłopaka na wysokości barku i przyciągnęłam go bliżej siebie, żebym mogła to naprawić.

– Przestań mną szarpać – zachnął się, wciąż wpatrując się w tekst.

Wsunęłam rękę do torby, delikatnie odsuwając Duriana na bok. Wyciągnęłam kilka kawałków opalu – kamienia wody o właściwościach leczniczych – aby naprawić rozdarcie, żeby brat nie skończył z poparzeniem słonecznym. Zacisnęłam minerały w dłoniach, a następnie przycisnęłam palce do jego rękawa.

Zrobiły się zimne, gdy opal się rozpuścił, a ból w paznokciach wzrastał, osiagając swój szczyt, kiedy jeden z nich pękł. Urwane nici szaty Wenshu zadrżały jak małe węże, skręcając się i splatając z powrotem. Strząsnęłam zdrętwiałe ręce i pochyliłam się nad ramieniem kuzyna, aby przeczytać zwój.

Zabraliśmy ze sobą tyle notatek mojego ojca, ile zdołaliśmy unieść. Gabinet Księżycowej Alchemiczki okazał się ich pełen, a my spędziliśmy pierwszych kilka tygodni po jej śmierci, czytając je i próbując zrozumieć jego język. Ojciec i alchemiczka pracowali razem, więc jej notatki zapisane po chińsku pomogły nam przetłumaczyć niektóre z jego tekstów.

Wiele z wcześniejszych zapisków traktowało o udoskonaleniu sztuki zmartwychwstania – nic nowego zarówno dla mnie, jak i dla Księżycowej. Wyglądało jednak na to, że mój ojciec przyjechał do Chang'an w zupełnie innym celu: w poszukiwaniu wyspy Penglai.

Kiedy ludzie wierzyli w bogów zamiast w alchemię, mówili o mitycznej wyspie zwanej Penglai, będącej domem dla ośmiu nieśmiertelnych istot i ich eliksiru życia. Mieszkali wysoko na śnieżnobiałej górze, w pałacu ze złota i srebra, otoczonym drzewami, na których zamiast owoców rosły diamenty i rubiny. Nie znali bólu, głodu ani zimy.

Zwykłe brednie.

Ze względu na zasady, jakimi rządzi się alchemia, dobrze wiedziałam, że takie miejsce nie ma prawa istnieć. Pokój i szczęście muszą być okupione cierpieniem.

Legendy jednak często wyrastały z ziaren prawdy. Przynajmniej wierzył w to mój ojciec.

Aby ta wyspa mogła istnieć, należałoby złamać najbardziej fundamentalną zasadę alchemii.

Tworzenie dobra bez kreowania zła.

Chociaż legendy zostały rozwodnione przez przesady, jeśli jest w nich choć odrobina prawdy, opisują alchemię bez ograniczeń i konsekwencji. Nieskrępowana moc tworzenia czegokolwiek zapragniesz – to jego słowa.

Kilka następnych rozdziałów opisywało jego teorie na temat tego, jak znaleźć Penglai, ale jedna strona w środku została wyrwana i bez względu na to, jak skrupulatnie przetrząsałam gabinet Księżycowej Alchemiczki, nie mogłam jej znaleźć. Na szczęście okoliczne notatki były na tyle sensowne, że mogliśmy przynajmniej rozpocząć poszukiwania.

Miejsce takie jak Penglai nie powinno istnieć. To była jedna z tych rzeczy, o której marzyły dzieci, naiwna wizja, która z czasem, w miarę upływu lat, została zmiażdżona przez rzeczywistość. Może mądrzejszy alchemik by ją odrzucił.

Mój ojciec jednak wierzył w to, tak jak w zmartwychwstanie, przez wielu uważane za niemożliwe. Nie bał się alchemii tak jak inni. Dostrzegł w niej ogromny potencjał i wykorzystał go, bez względu na cenę.

Może się mylił, a to wszystko było tylko marzeniem głupca. Przypominałam sobie wyraz twarzy księcia, gdy Cesarzowa poderżnęła mu gardło, ziejącą ranę, fale krwi spływające po schodach, i wiedziałam, że w jakiś sposób to musi się udać. Jeśli nie mogłam tego naprawić, nie zasłużyłam na drugie życie, które mi dano.

Notatki ojca wspominały o mapie mogącej doprowadzić nas do wyspy Penglai, ale nawet po przeszukaniu gabinetu Księżycowej, tajnych szuflad i w ogóle wszystkiego, nie byliśmy w stanie jej znaleźć. Mógł ją zabrać ze sobą, kiedy opuszczał pałac po raz ostatni, a w tym przypadku nigdy byśmy nie weszli w jej posiadanie.

Na szczęście w pierwszej kolejności wspomniał o tym, jak znalazła się w jego rękach.

Rozmówiłem się z wielkim alchemikiem, który mieszka w opustoszałych dolinach pod dnem Morza Bez Granic. Nazywa siebie Piaskowym Alchemikiem, ponieważ zbudował z tego budulca pałac pod ziemią. Twierdzi, że był na wyspie Penglai.

Niestety ojciec nie okazał się na tyle roztropny, aby dołączyć mapę prowadzącą do frontowych drzwi owego alchemika. Jego dzienniki wspominały jednak o tym, że wkroczył na pustynię od strony Lanzhou, a z tego miejsca nie mógł zejść daleko. Tereeny były niezbyt łaskawe dla ludzi żyjących na ich obrzeżach od wieków, a tym bardziej nie okazywały litości bladolicym cudzoziemcom, którzy nie znali miejscowych tajemnic.

Jakieś części mnie podobał się pomysł podążania śladami ducha ojca. Kiedyś poprzysięgłam sobie opanować władanie alchemią, żeby zrobić mu na złość za to, że zostawił matkę na łożu śmierci. W chwili, gdy Księżycowa Alchemiczka ukazała mi prawdę – fakt, że oddał swoje ostatnie życie, aby mnie wskrzesić, i wrócił do niej po lekarstwo – ta nienawiść szybko zniknęła.

Wyobrażałam go sobie, wysokiego i żyłastego, o miedzianych włosach i oczach błękitnych jak niebo, wkraczającego w to złote morze tak wiele lat temu, z niczym więcej niż marzeniem. Nie do końca wierzyłam w duchy, ale w oparach upału chwilami wydawało mi się, że widzę go tam, patrzącego przez ramię.

Wenshu tupnął nogą. Odpowiedziało mu echo, a piasek zadrzął i rozstał się posłusznie.

– Czy to brzmi dla ciebie jak podziemny pałac? – spytał.

– Na pewno nie jak wydma – stwierdziłam, klękając. Chwycałam trzy kamienie ziemi z torby i przycisnęłam je do podłoża.

Piasek zaczął powoli szeptać w przestrzeni pod moimi dłońmi, tworząc blade kłębowiska za plecami. Gdy wiatr przybrał na sile, ziemia zapadła się pod naszymi stopami, aż wpadliśmy w objęcia pustyni. Zanurzyliśmy się, grunt pod nami stawał się coraz zimniejszy i ciemniejszy, aż w końcu dotknęłam chłodnego metalu, a stanęłam na twardym gruncie.

Właz w ziemi.

– To jeden ze sposobów walki z upałem na pustyni – wyjaśnił Wenshu. – Zakop się pod ziemią jak lis.

Zapukałam dwa razy. Czułam się trochę nieswojo, czekając na zaproszenie do tajnego gniazda pustelnika-alchemika, jakbyśmy wpadli do niego na herbatkę. Jak można się było spodziewać, odpowiedziała nam tylko cisza.

– Cóż, próbowaliśmy – skwitowałam, umieszczając trzy kamienie ognia w zamku i z łatwością go wyłamując. *Amator*.

Wenshu wydał z siebie oburzony dźwięk, wodząc wzrokiem za porzuconym zamkiem, gdy piasek go pochłaniał.

– Zilan, nie możesz po prostu...

– Ze wszystkich okropnych rzeczy, które zrobiłam – przerwałam mu, chwytając za klamkę – myślę, że mogę żyć z tym, że otworzyłam te drzwi.



Zeszliśmy do chłodnego, cichego tunelu. Rozżarzyłam trzy kamienie ognia w dłoni, rzucając na pokryte piaskiem ściany bladopomarańczowe światło. Sieć cienkich, srebrnych drutów usztywniała zakrzywione sufity, a ziemia pod nami była wypolerowanym piaskowcem, z pasami czerwieni i brązu. Trzymałam przed sobą minerały, ale światło nie mogło przebić się

zbyt daleko przez morze ciemności. Przed nami ciągnął się tylko korytarz, który stawał się coraz węższy, w miarę jak znikał w mroku.

– To musi być dom Piaskowego Alchemika – stwierdziłam. – Nikt inny nie mógłby przenieść tak dużej ilości piaskowca daleko przez pustynię bez użycia alchemii.

– Nie o znalezienie go się martwiłem – mruknął zaniepokojony Wenshu, wpatrując się w niekończący się tunel. – Nie wydaje się typem, który ceni sobie wizyty gości, jeśli zakopane drzwi są jakąś wskazówką.

– Myślałeś, że znajdziemy kupców sprzedających sekrety wyspy Penglai na rynku za dwadzieścia sztuk złota? – rzuciłam rozdrażniona, spoglądając przez ramię. – Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo.

Odwrociłam się i skierowałam głębiej w system tuneli, niosąc nasze jedyne źródło światła i zmuszając tym Wenshu do pójścia za mną.

Odgłosy pustyni stopniowo się oddalały, gdy szliśmy dalej, zatem wiedziałam, że zmierzamy głębiej pod ziemię. Ściany z piasku wydawały się bardziej zbite, ciemniejsze od uwięzionej w nich wilgoci. Zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie główny tunel rozdzielał się na trzy mniejsze.

– Którędy? – spytał zdezorientowany brat.

Syknęłam z bólu, gdy kamienie wypaliły się w mojej dłoni, parząc mi skórę i pogrążając nas w ciemności.

– Czy wyglądam ci na mapę? – burknęłam z ironią, sięgając do torby po więcej minerałów.

– To ty jesteś cesarską alchemiczką.

Spięłam się, wdzięczna, że Wenshu nie mógł zobaczyć mojej twarzy w ciemności. Nie byłabym w stanie opisać, jak bardzo nienawidziłam tego tytułu. W całym Chang'an, a potem w Chinach, wieści o masakrze w pałacu rozeszły się za pośrednictwem ulotek-drzeworytów.

SZKARŁATNA ALCHEMICZKA, głosiła rycina na górze, z towarzyszącą jej ilustracją dziewczyny skapanej w posoce, stojącej przed rozpadającym się pałacem także ociekającym krwią, odciętymi rękami i głowami na trawniku, niebem w kolorze złowrogiej czerwieni.

Słowo „Szkarłatna” kiedyś odnosiło się do mojej własnej krwi, którą rozlałam, aby spełnić marzenie o dostaniu się na królewski dwór, ale tamtego dnia nabrało nowego znaczenia. Byłam ostatnią z cesarskich alchemiczek, jedyną, która ocalała z całego pałacu, zostawiając za sobą krwawe ślady stóp. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę się wydarzyło, ale większość ludzi nie potrzebowała prawdy. Tworzyli własne historie.

Szkarłatna Alchemiczka, która zabiła swoich przyjaciół. Szkarłatna Alchemiczka, która stała się tak zazdrosna o inne kobiety w pałacu, że rozerwała je na strzępy. Szkarłatna Alchemiczka, która nie chciała umrzeć jak mały karaluch, nie dlatego, że była silna, ale dlatego, że pozostali oddali za nią życie. Poświęciłam wszystko dla tego tytułu i w ciągu miesiąca nie był to już zaszczyt, lecz przekleństwo.

– A jaki twoim zdaniem rodzaj alchemii powinnam tutaj wykorzystać? – zapytałam nieco ostrym tonem, wciąż polując na odłamki w torbie. – Jak myślisz, który dokładnie kamień wskaże ci lokalizację alchemika-odludka zakopanego pod ziemią?

Moje palce już robiły się zimne, a temperatura panująca w zacienionych tunelach ostro kontrastowała z palącym, złotym słońcem na powierzchni. Drżące dłonie przesuwwały się po gładkich kamieniach, a ja nie mogłam rozpoznać ich w ciemności. W normalnych warunkach potrafiłam je odróżnić dotykiem, ale ponieważ opuszki zdrętwiały mi z wyziębienia, ta pewność zniknęła.

Wenshu musiał wyczuć moje wahanie, ponieważ westchnął i zaczął grzebać we własnej torbie.

– Cesarska alchemiczka nie potrafi nawet stworzyć pochodni – obruszył się, zapalając zapalkę, która rozświetliła korytarz.

Przed nami stał mężczyzna.

Oboje się wzdrygnęliśmy, kuzyn prawie upuścił źródło światła, gdy blady upiór nieznajomego zrobił krok w naszą stronę, trzymając w każdej dłoni zakrzywiony nóż. Jego skóra miała niebieski odcień jak u trupów i pokryta była cienką warstwą czegoś mokrego, co lśniło w mroku. Długie czarne włosy opadały mu na twarz, przesiąknięte tą samą wilgocią. Oczy mężczyzny były mętne, niemal białe jak rozdarte piaskiem niebo, dodatkowo zabarwione na czerwono, a osad zbierał mu się w ich kącikach, na ustach, na brodzie. Pierścienie z topazu i rubinu błyszcząły na jego palcach. Czy to Piaskowy Alchemik?

Próbowałam przypomnieć sobie jakiegokolwiek słowa w dialekcie Lanzhou, którymi mogłam się do niego zwrócić, ale zanim zdążyłam się odezwać, złota żmija zawinęła się wokół jego gardła, obnażając kły.

Natychmiast cofnęliśmy się, chowając się za naszymi szatami tak, aby luźny materiał tworzył przed nami swego rodzaju osłonę. Ciotunia zawsze powtarzała nam, że jeśli wąż chce cię pożreć, lepiej upewnij się, że ma usta pełne tkaniny, a nie mięsa.

Gad jednak nie zaatakował, tylko zawisł nad twarzą mężczyzny, a jego przeszywające, złote ślepia były jaśniejsze niż zapałka w dłoni Wenshu. Podciągnęłam rękaw do tyłu, tak by przykrył moją torbę, na wypadek gdyby Durian wybrał ten moment, by wystawić z niej swój łebek.

Mężczyzna powiedział do nas coś w języku, którego nie rozumiałam. Nigdy wcześniej nie podróżowałam na północny zachód, nie słyszałam dialektów z dalekiego świata na południowo-wschodnim wybrzeżu.

Wymieniłam z Wenshu zmieszane spojrzenie. Nieznajomy westchnął niecierpliwie i spróbował odezwać się ponownie, tym razem głośniej, potrząsając przy tym bronią.

– KTO WAS PRZYSYŁA? – zapytał w czymś, co przypominało dialekt Chang'an, trzymając ostrza wycelowane w nasze gardła.

Akcent kładł nierównomiernie na każdym wyrazie, więc zajęło mi chwilę, aby zrozumieć jego słowa.

– Nikt – odparłam, starając się mówić nader wyraźnie na wypadek, gdyby mnie nie zrozumiał. – Szukamy Piaskowego Alchemika.

Mężczyzna wybuchnął głośnym śmiechem.

– Więc szukacie zwłok.

Westchnęłam, licząc w myślach, ile kamieni kurzej krwi jeszcze mi zostało. Jego słowa prawdopodobnie odstraszyłyby każdego innego, ale śmierć nie oznaczała końca podróży alchemika zmartwychwstania.

– Jak dawno temu? – dopytałam.

Nieznajomy zmarszczył czoło.

– Co?

– Kiedy umarł? – powtórzyłam powoli. Odwróciłam się do Wenshu. – Chłód panujący w tym miejscu spowalnia proces rozkładu ciała. Jeśli jego mózg jest nadal w większej części nienaruszony, mogę z tym podzielać.

– W większej części? – zdziwił się brat, a ja zauważyłam, jak nagle zbladł. – Chcesz przesłuchać martwego człowieka z połową mózgu?

– Nie musi recytować konfucjańskich tekstów, po prostu wskaż nam lokalizację mapy – dodałam.

– Konsekwencje etyczne...

– Później możemy go ukołysać do wiecznego snu.

– My?

– Nie żyje od wieków – przemówił głośniejszym głosem gospodarz podziemi, jakby desperacko chciał, żebyśmy się zamknęli.

– Nie – odparłam stanowczo. – Nie jest martwy.

Byłam pewna swoich słów, ponieważ z notatek mojego ojca wynikało, że rozmawiał z Alchemikiem, a on z pewnością nie miał nawet stu lat. Ten człowiek kłamał, bo miał coś do ukrycia. Żyła tylko jedna osoba, która nakarmiła mnie przekonującymi łgarstwami, a ja ją zabiłam.

– Oto co się stanie – zaczęłam. – Zabierzesz nas do Piaskowego Alchemika albo odrąbię głowę twojemu wężowi łopatą i pocho-
wam cię pod dziesięcioma tonami piasku.

Mężczyzna tylko się zaśmiał, a mną wstrząsnął gorący prze-
błysk wściekłości.

– Widzisz te druty? – odezwał się, wskazując na sufit jednym
ze swoich noży. – Dostrzegasz, jak błyszczą?

Spojrzałam na nie przez krótką chwilę, nie chcąc na zbyt dłu-
go odrywać wzroku od bądź co bądź uzbrojonego człowieka.

– Tak? – spytałam z powątpiewaniem.

Wyciągnął rękę i przycisnął jeden palec do luźnego drutu zwi-
sającego obok niego. Na opuszku jego palca pojawiła się jasna
strużka czerwonej krwi.

– Metal nie odbija światła – wyjaśnił. – Błyszczcy, ponieważ jest
piekielnie ostry. Te zwoje mogłyby cię posiekać jak brzoskwinię,
gdybym tego chciał. Twoje kości będą zdobić ściany, ponieważ
nigdy ich nie rozplączę.

Potem ponownie dotknął drutu i światło rozbłysło w opuszku
jego palca.

Cała błyszcząca sieć zadrżała, gdy alchemia przepłynęła przez
nie, oświetlając ściany tunelu. Złapałam Wenshu i przyciągnę-
łam go do siebie, gdy jeden z przewodów oderwał się od sufitu
i odciął mu kawałek rękawa niczym bicz.

Sięgnęłam po torbę, ale w tym samym momencie nieznajomy
puścił drut i cała siatka zawisła bezwładnie. Jeden z rubinowych
pierścieni mężczyzny zamienił się w popiół, który opadł na zie-
mię. *Klasyczna alchemia destrukcji, wspomagana kamieniami ognia*,
pomyślałam. Ten człowiek był alchemikiem.

– Kto was przysłał? – powtórzył nieznajomy.

– Nikt – rzuciłam krótko, wyciągając trzy kamienie ognia i trą-
cąc Wenshu łokciem, do momentu aż stanął za mną. – Uwa-
żaj, komu grozisz, kiedy stoisz w tym samym tunelu co my, pod
tymi samymi drutami.

– Śmiało, spróbuj – zachęcił mężczyzna, a wąż ześlizgnął się po jego bicepsie, owijając się wokół nadgarstka.

Przycisnęłam kamienie do ściany i wyobraziłam sobie alchemię pędzącą przez ostre druty, tak jak mknęła przez powykęcane korzenie w ziemi, szukając wody. Wnet poczułam skurcz w dłoni, gdy moc nie popłynęła przez przewody, tylko odbiła się w moją stronę, parząc dłoń. Odsunęłam ją od ściany.

– Co ty...

– Nawet nie wiesz, z czego jest zrobiony – ocenił nieznajomy, uśmiechając się ponuro. – Taka z ciebie alchemiczka.

Zacisnęłam szczęki i rozprostowałam palce, by przywrócić czucie w zeszywniałej ręce. Jego słowa nie powinny wyprowadzić mnie z równowagi. Nikt nie myślał o mnie jako o kimś wielkim, dopóki nie udowodniłam im, że się mylą. Z jakiegoś powodu jednak słowa mężczyzny dotknęły mnie do żywego.

Miał rację – gdybym była wielkim alchemikiem, nie tkwiłabym teraz pod pustynią, szukając mitycznej wyspy tylko po to, by naprawić swoje błędy.

– Jesteś Piaskowym Alchemikiem, prawda? – spytałam z pewnością w głosie.

– Myślę, że nie chcesz, bym szczerze odpowiedział na to pytanie – skwitował. – Jeśli powiem „tak”, nigdy stąd nie odejdziecie.

Zacisnęłam zęby. Dlaczego mój ojciec zaprzyjaźnił się z tak wymijająco odpowiadającym, nieskorym do pomocy człowiekiem?

– Nie przybyliśmy tu po to, by sprawiać kłopoty – zapewnił Wenshu. – Szukamy wyspy Penglai.

Mężczyzna zmrużył oczy.

– Wyspa Penglai to nie miejsce dla dwójki dzieci – stwierdził stanowczo. – Istnieją powody, dla których jej sekrety przechowuje się tutaj, a nie w cesarskiej bibliotece. Te informacje nie są dostępne dla byle kogo, dla kogoś, kto wtargnął tutaj przez moje drzwi.

– Nie jestem BYŁE KIM – sprostowałam. – Jestem ostatnią cesarską alchemiczką.

Ten tytuł już niewiele dla mnie znaczył, ale Wenshu oczekiwał, że będę właśnie tą osobą – tą, której zaufała, która przeprowadzi nas bezpiecznie przez świat i z powrotem do domu. Był to tytuł, którego ten człowiek powinien się obawiać, przywołujący w umyśle obrazy krwi i zwłok.

Mężczyzna zaśmiał się, a mroczne brzmienie jego głosu pomknęło w głąb tuneli.

– Myślisz, że jesteś najlepsza tylko dlatego, że Cesarzowa cię wybrała? Myślisz, że nie ma nas więcej, więcej takich, którzy nie są na tyle głupi, aby jej służyć?

Zawahałam się. Całe życie oceniałam swoje alchemiczne umiejętności przez pryzmat cesarskiego egzaminu, będącego celem bogatych dzieci z Północy. Alchemia stała się sposobem na zarabianie pieniędzy, a nie hobby. Dlaczego ktoś miałby zostać alchemikiem, jeśli nie po to, by służyć Cesarzowi?

– Możecie już iść – zasugerował mężczyzna – albo mój wąż będzie miał co jeść przez następny miesiąc.

Wzięłam głęboki wdech, żeby się uspokoić. Nie przebyłam całej tej drogi, aby wrócić do Chang'an z pustymi rękami. *Skup się, Zilan*, pomyślałam, patrząc ponownie na druty. *Myśl jak cesarska alchemiczka*.

Mężczyzna najwyraźniej wytworzył stop metalu, który wchodził w reakcję z kamieniami ognia. Założyłam, że druty są zrobione ze zwykłej stali, ale ból w dłoni wyraźnie uzmysłowił mi, że się myliłam. Częścią bycia alchemikiem – dobrym alchemikiem, oczywiście – była umiejętność rozpoznania każdego surowca za pomocą wzroku, dotyku, zapachu. Srebrne sploty zawieszane nad nami wyglądały jak stalowa żyłka, której używał do cięcia gliny Wujek Fan. Ich ostry blask, nawet w słabym świetle, oznaczał, że prawdopodobnie pokryto je czymś innym,

jakimś tajemniczym metalem, aby powstrzymać wszelkie transformacje zainicjowane przez obcych alchemików.

Na szczęście na pustyni nie było zbyt wielu kamieni do wyboru. Przynajmniej nie w tej ilości.

Sięgnęłam w stronę siatki jeszcze raz, ignorując wspomnienie bólu w dłoni.

– Zilan! – wycodził Wenshu.

Zignorowałam go, ciągnąc luźny kawałek drutu i powoli, ostrożnie, przykładając go do ust. Otworzyłam je i przejechałam językiem po gładkiej powierzchni.

– ZILAN! – powtórzył wzburzony brat.

Alchemik opuścił już noże o kilka milimetrów, ściągając wargi.

– To sól kamienna – oceniłam, oblizując usta. – Powłoka ze sta-
li i soli kamiennej, prawda?

Kwaśny wyraz twarzy mężczyzny tylko potwierdził moje przypuszczenia.

– Możemy spróbować jeszcze raz i zobaczymy, kto szybciej potnie drugiego, ale mam przeczucie, że nikt nie wyjdzie stąd jako zwycięzca – obwieściłam, pewna siebie. – Albo możesz mi wyjawić to, co powinnam wiedzieć o wyspie Penglai.

– A skąd o niej wiesz? – spytał alchemik, przesuwając drżącą rękę po grzbiecie węża, a jego oczy zapłonęły. – Tylko kilka osób...

– Mój ojciec – przerwałam mu. – Nazywał się Laisrén.

Jego prawdziwe imię poznałam dzięki notatkom Księżycowej Alchemiczki. To chińskie przybrał, kiedy poznał moją matkę, ale Księżycowa nazywała go tylko Laisrén.

Mężczyzna spojrzał na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy, jego oczy zwęziły się, jakby próbował mnie przejrzeć. Cokolwiek zobaczył, nie spodobało mu się to. Mocniej zacisnął dłonie na rękojeściach noży.

– Córką Laisréna nie żyje – warknął.

– Zgadza się – odparłam, opuszczając rękaw i pokazując mu wyryte na przedramieniu imię, znacznik duszy, który przywrócił mnie do życia w sali tronowej Cesarzowej. – Jestem martwa.

Wpatrywał się w moją bliznę, a ja czułam, jak jego wzrok mnie pali, lecz po chwili alchemik westchnął i opuścił noże.

– Gdzie jest teraz Laisrén?

– Również nie żyje – oznajmiłam. *Przeze mnie*, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos.

Zmarszczył brwi. Ziarenka piasku wokół jego kostek zaczęły migotać, tworząc delikatne wzory, jakby małe gwiazdy na nocnym niebie. W przyćmionym świetle zdałam sobie sprawę, że na ziemi roi się od żółtych oczu cienkich węży koloru piaskowca, które zbliżają się do mnie. Wenshu cofnął się, a ja stałam niewzruszona. Żmija na ramieniu mężczyzny znów syknęła, a jej złote łuski zamigotały.

– Pokaż nam mapę – zażądał brat, choć z całą pewnością to nie on zamierzał dźgnąć gada, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Nigdy nie moglibyście znaleźć wyspy Penglai, polegając tylko na mapie – stwierdził mężczyzna. – To miejsce dla największych alchemików, jacy kiedykolwiek żyli. Nawet nie wiesz, o co prosisz.

– Nie proszę – odparłam, zaostrzając jeden z moich żelaznych pierścieni w kształt kolca.

Alchemik opuścił nieco ramiona i właśnie wtedy zdałam sobie sprawę, że wygraliśmy.

– Jesteś taka jak on – przyznał, zanim zawrócił i skierował się z powrotem w dół tunelu, nie czekając, aż podążymy za nim. – Chodźcie.



Piaskowy Alchemik wyrzeźbił cały świat pod ziemią. Przepastnie wydrążone piaskowce wyglądały w ciemności na śnieżno-białe, ciepło pustyni pozostało odległym wspomnieniem, gdy schodziliśmy do zimnego i ciemnego labiryntu. Co jakiś czas rozbłyski złotego światła migotały mi pod nogami – maleńkie węże wyłaniały się z piasku, a ich skóra niesamowicie błyszczała.

Wśród licznych przejść dostrzegłam zarysy piaskowych stołów, zbiorniki wody i zapasy mięsa. Nie wiedziałam jednak, jakie zwierzęta dało się upolować na pustyni. Znad ramienia alchemika jego żmija obserwowała nas niestrudzenie, a powietrze wokół stało się coraz chłodniejsze.

Jesteś taka sama jak on, powiedział. Na pewno mówił o moim ojcu. W głowie kłębiły mi się pytania, które chciałam zadać, ale wiedziałam, że żadne z nich nie spotka się z dobrym przyjęciem, a w grę wchodziło coś więcej niż tylko zaspokojenie ciekawości. *Jakim cudem jestem taka jak on?*, chciałam zapytać. *Wymagająca? Wytrwała? Bystrzejsza niż początkowo myślałeś?*

Ciotunia So powiedziała mi tylko, że ojciec wyglądał jak niedogotowana meduza i nie mówił dobrze po chińsku. Księżycowa Alchemiczka też go spotkała, ale kiedy jeszcze żyła, miałyśmy o wiele pilniejsze sprawy do omówienia, a teraz nie mogłam już jej o nic zapytać. Piaskowy Alchemik był więc jedną z niewielu żyjących jeszcze osób, które go znały.

Zatrzymaliśmy się w pomieszczeniu pełnym piaskowych półek wypełnionych zwojami i z niskim stołem umieszczonym na środku, otoczonym rozrzuconymi, zakurzonymi poduszkami do siedzenia na ziemi.

– Dam ci to przez wzgląd na Laisréna – powiedział mężczyzna. Kłęknał, aby zapalić garścią kamieni świecę na stole. Gdy światło wypełniło całe pomieszczenie, jego cień urósł za nim jak wielka bestia stojąca na tylnych łapach.

Wstał i podszedł do ściany, a cień skurczył się z powrotem do ludzkiego rozmiaru.

– Więc – kontynuował – zostawicie mnie i nigdy nie wróćcie ani nie powiecie nikomu, skąd to macie.

– Nie mam zamiaru wracać na pustynię, jeśli tylko mogę tego uniknąć – oświadczyłam bez wahania. – I nie planuję wysyłać za tobą ludzi. Mam większe problemy na głowie.

Mężczyzna przymrużył oczy, jakby mnie oceniał, po czym skinął głową i schylił się do najniższych półek, przerzucając zwoje gdzieś w cieniu.

Wenshu rzucił mi głęboko sceptyczne spojrzenie, jego usta zaciśnęły się w grymasie. Nie było trudno odgadnąć, o czym myślał: *to zbyt proste*.

Ten człowiek wyglądał, jakby rozkładał się pod ziemią od lat, wyraźnie ukrywając się przed czymś – lub przed kimś – kosztem wszystkiego innego. Nie zdradziłby swoich sekretów bez przełania choćby kropli jego krwi. Cokolwiek miał nam dać, z pewnością nie było tym, czego zażądaliśmy.

Pytanie brzmiało: jak dowiemy się, gdzie właściwie trzymał mapę?

Odwrócił się do nas plecami, co oznaczało, że to, czego chcieliśmy, prawdopodobnie nie znajdowało się nawet w tym pokoju, w przeciwnym razie obserwowałby nas uważnie.

Znałam jednak sposoby, by widzieć bez użycia oczu.

Po cichu wyciągnęłam z torby trzy kamienie wody, przykucnęłam i przycisnęłam je do ziemi.

Tak jak na środku pustyni, alchemia przepłynęła mi przez opuszki palców i wniknęła głęboko w grunt, szukając sieci korzeni. W mojej wyobraźni magia rozlała się, przenikała przez fundamenty piaskowego pałacu, tworzyła w moim umyśle mapę budynku i ukazywała wszystkie pomieszczenia z dodatkowymi zabezpieczeniami. Zapomniałam jednak, jak głęboko pod ziemią byliśmy.

Alchemia uderzyła w twardą warstwę kamienia pod nami, cały świat zadrżał z ciężkim łoskotem, gdy moc rozproszyła się

bezradnie. Piasek i sproszkowana glina spadły z sufitu, gdy cały budynek zadrżał.

Alchemik rzucił okiem na drzwi po lewej, a potem z powrotem na mnie i Wenshu. Na szczęście w porę się podniosłam, udając zdziwioną.

– Trzęsienie ziemi? – spytałam niewinnie, unosząc brew. – A może masz tu jeszcze większe węże?

– Wolę trzęsienie ziemi niż kolejnego gościa – mruknął, wstając ze zwojem pod pachą.

Ukradkiem spojrzałam na Wenshu, wiedząc, że widział dokładnie to samo, co ja.

Gdy dochodziło do jakiejś katastrofy, ludzie zawsze dbali tylko o to, co cenili najbardziej. To stara sztuczka, komendanci rynku próbowali wykorzystywać ją na kupcach, których z kolei podejrzewali o ukrywanie pieniędzy w celu uniknięcia płacenia podatków. W Guangzhou wybijano nam okna w środku nocy, dziurawiono strzechę podczas ulewy lub podpalano sklep, a potem ktoś stał i obserwował. Wiedzieli, że kiedy dochodzi do katastrofy, szuka się tego, co jest dla nas najważniejsze.

Alchemik znów spojrzał na pomieszczenie po lewej stronie.

– Proszę – powiedział, wyciągając rękę z bliżej nieokreślonym zwojem. *Pewnie jest pusty, pomyślałam, albo równie bezużyteczny.*

Mężczyzna już zmierzał w stronę drzwi, szykując się, by wykopać nas z powrotem na pustynię. Nie było mowy, żeby po prostu pozwolił nam się rozejrzeć. Nie bez ważnego powodu.

Sięgnęłam do torby i wsunęłam dłoń pod brzuch Duriana, wyszeptując przeprosiny w jego pióra i postawiłam go na ziemi.

Natychmiast ruszył w stronę drzwi, lecąc nisko i omal nie zwalając z nóg alchemika.

– Durian uciek! – krzyknęłam, a następnie popędziłam do przodu i wypchnęłam brata na korytarz. – Złap go, zanim zje go wąż!

Wenshu wiedział równie dobrze jak ja, że Durian prędzej zje zmię w całości, niż sam zostanie pożarty – przyłapałam kaczoza na wypatroszeniu dwa razy większego od siebie karpia w jednym z pałacowych stawów – ale na szczęście kuzyn tylko przewrócił oczami i zaczął go gonić.

– Nie możecie tu tak po prostu biegać! – wrzasnął mężczyzna, goniąc za Wenshu.

Przez chwilę biegłam za nimi, po czym zawróciłam do pomieszczenia, w którym przed chwilą byliśmy, i popędziłam przez nie prosto do tego po lewej stronie.

W tym miejscu nie znajdowały się żadne półki ani szafki. Dostrzegłam tylko cztery ściany zrobione z gładkiego, wypolowanego piaskowca, bez szczelin czy szpar. Nic, co można by dostrzec okiem dyletanta, a nie alchemika.

Przycisnęłam dłoń płasko do piaskowca, a moje żelazne pierścienie przyległy do niego szczelnie. Alchemia drgała niespokojnie w kamieniu, szukając czegoś, co można zgąć, przekształcić, złamać.

Wiła się dalej wokół cienkiej, prawie niewidocznej szczeliny w ścianie, następnie zatrzymała się, aby ocenić moje zamiary i poczekać na rozkaz. *Czy tego właśnie szukasz?* – wyszeptała gdzieś głęboko we mnie.

Nie jestem pewna, pomyślałam, ale dowiedzmy się tego.

Magia zalała szczelinę błyskiem purpurowego światła. Kamień zatrzeszczał, gdy zakurzone białe drobinki zawirowały w powietrzu, a szpara się poszerzyła. W końcu uchyliły się małe drzwi, nie większe niż moja torba.

Wsunęłam rękę do środka i zacisnęłam pięść wokół kilku arkuszy papieru. Nie starczyło mi jednak czasu, aby je od razu przeczytać – pospieszne kroki zbliżały się do pokoju.

Wepchnęłam znalezione do torby i pospieszyłam z powrotem na korytarz, gdzie Durian ledwo uniknął rąk Piaskowego Alchemika.

Sięgnęłam do bagażu, wyciągnęłam garść martwych świerzczy i rzuciłam je na ziemię. Kaczka wylądowała na nich, zanim zdążyłam odłożyć torbę, i pożarła je w mgnieniu oka. Podniosłam ją, gdy kwakała w proteście, i ponownie ukryłam.

Wenshu i alchemik w końcu mnie dogonili, dysząc i wpatrując się we mnie, chociaż prawdopodobnie każdy z nich z innego powodu.

– Dość tego – warknął stanowczo mężczyzna. – Bierście swój zwój i wynoście się stąd.

– Pozwól nam go najpierw zobaczyć – poprosiłam, ponieważ zbyt ochocze przyjęcie jego słów wyglądałoby podejrzenie.

– Wynos się z mojego domu, wtedy go sobie obejrzysz. Taka była umowa.

Kuzyn skrzyżował ramiona.

– Ale...

– Nie igrajcie z ogniem – ostrzegł alchemik, wskazując palcem Wenshu. Żmija zsunęła się po jego ramieniu, obnażając pożółkłe kły.

Brat przełknął ślinę i cofnął się, kiwając głową.

Mężczyzna minął nas i ruszył korytarzem. Ziemia powoli zaczęła się podnosić, a szum pod naszymi stopami stawał się łagodniejszy. Doszliśmy do klapy w suficie, którą alchemik popchnął ramieniem, z głośnym chrząknięciem, a przez otwór wpadło jaskrawe światło i podmuch gorącego piasku. Wyszedł na zewnątrz, po czym wyciągnął do nas rękę.

– Czy to wszystko jest naprawdę konieczne? – spytał Wenshu, podczas gdy mężczyzna wciągał go do góry. – Naprawdę tak bardzo nienawidzisz ludzi, że zostałeś odludkiem?

Alchemik pokręcił głową i szarpnął mnie w stronę powierzchni. Poślizgnęłam się na piasku, mocno trzymając Duriana.

– Nie mieszkam tutaj dlatego, że nienawidzę ludzi – oznajmił. – Jestem tu, ponieważ w przeciwnym razie oni wykorzystywaliby mnie do okropnych rzeczy. Taka jest cena bycia wielkim alchemikiem.

W końcu podał mi zwój. Byłam gotowa odejść, ale musiałam przynajmniej udawać, że na niego patrzę, dopóki mężczyzna nie zniknął w swoich piaskach.

Rozwinęłam dokument i przyjrzałam się szczegółowej mapie Chin, rozległym pustyniom północnego zachodu, górcom na północnym wschodzie, pofalowanej granicy z oceanem na wschodzie. Nic nie wskazywało na wyspę Penglai, tak jak się spodziewałam.

Odwrociłam się, by zadać jakieś zmyślane, ignoranckie pytanie, ale zamarłam na widok Wenshu leżącego na ziemi, z jedną ręką przyciśniętą do szyi. Alchemika nie było już obok niego.

– Gēgē? – wydukałam.

Odsunął dłoń, próbując wykonać jakiś gest, ale jego palce wykrzywiły się i zaczęły drżeć. Na skórze brata pojawiła się pojedyncza, cienka strużka krwi, a ślad po niej odbił się na ręce. Nie była to głęboka rana i nie wyglądało na to, by krwawiła zbyt mocno. Jego usta jednak zrobiły się fioletowe, a twarz blada jak ściana.

Zrobiłam krok w stronę kuzyna, ale zanim zdążyłam do niego dotrzeć, coś ugodziło mnie w szyję.

Odwrociłam się w stronę alchemika, który stał teraz za mną i trzymał ostrze w dłoni.

– Musisz zrozumieć jedną rzecz o pustyni – podjął. Nawet gdy to mówił, wiedziałam, że nie zranił mnie zwykłym nożem. Cięcie piekło jak przypalane, ból przeszedł z gardła do klatki piersiowej, rozlał się na ramiona i spowodował skurcze mięśni.

– Piasek żyje – kontynuował, a jego słowa rozplynęły się w falach gorąca. – Jest dynamiczny i nieprzewidywalny jak ocean. Tutaj nic nie okazuje się stałe. Krajobraz zmienia się z każdą chwilą, ponieważ pustynia oddycha, a to, co zakopane w piasku, ma pozostać pogrzebane. Ona strzeże swoich tajemnic.

Sięgnęłam po torbę, ale moja dłoń już zacisnęła się w twardą pięść i poruszanie nią stało się zbyt bolesne. Żmija owinęła się wokół szyi mężczyzny.

To jad, zdałam sobie sprawę. Musiał pokryć nim swój nóż.

Upadłam na kolana, krople krwi splamiły piasek, który pił ją chciwie.

– Wyspa Penglai zniknęła nie bez powodu – skwitował alchemik, a jego słowa zdawały się dobiegać z daleka. – Nie pozwolę ci jej odgrzebać.